

Smuta uniwersytetu

2 sierpnia 2022

Gdy przed kilkunastoma miesiącami opublikowałem na łamach „Spraw Nauki” i „Myśli Polskiej” dyskusyjny tekst pt. „Akademickie trąby na larum!” nie spodziewałem się, że kryzys wolności akademickiej i moralne skarlenie władz macierzystego wydziału dopadną mnie osobiście.

Że po 50 latach życiowego związania się z Uniwersytetem i warszawską politologią padnę ofiarą „sykofantów i makkartystów”, których przypomniał niedawno w swoim celnym artykule Radosław Czarnecki. Nie odnosiłbym się do uknutej przeciwko mnie intrygi z udziałem studentów i urzędników nauki, gdyby sprawa nie miała poważniejszego charakteru.

Otóż tak jak pisałem ponad rok temu, Uniwersytet przestał być miejscem krytycznego myślenia, obiektywnej oceny zjawisk i procesów społecznych, porównywania i konfrontowania różnych punktów widzenia. Zostałem pouczony przez dziekana wydziału, że wolność akademicka nie oznacza „prawa do dowolności”. W tym zdaniu właśnie jak w soczewce skupia się biurokratyczny, a zatem i polityczny zamach na samą ideę i istotę wiedzy jako dobra publicznego. Ta, jak wiadomo, może się rozwijać jedynie w warunkach poszanowania pluralizmu światopoglądowego i aksjologicznego, wielości stanowisk metodologicznych i w rezultacie różnorodności punktów widzenia.

Najgorsze jest to, że „oddolne” psucie standardów uniwersyteckich, w tym dobrych obyczajów, odpowiada „odgórnym” zamachom na wolność akademicką nawet w państwach dojrzałej zachodniej demokracji. Takie rzeczy, jak ograniczanie przedmiotowe zainteresowań badawczych dzieją się nie tylko na Węgrzech, w Rosji czy Turcji, ale także w USA, Wielkiej Brytanii i Francji. Tworzenie instytucji kolejnych rzeczników i nedorzeczników do spraw wszelkiej poprawności i niepoprawności rodzi skutki odwrotne do zamierzonych.

Oskarżają oni niezależnie myślących badaczy o odstępstwa od norm, ustanawianych arbitralnie przez „sądy kapturowe”. Te zjawiska są przejawem kryzysu intelektualnego, który wiąże się przede wszystkim z upolitycznieniem uczelni, poddawaniem ich poprawnościowym modom i gorliwym wykonawcom szkodliwych dyrektyw.

Wrogowie wolności akademickiej wykorzystują kolejną fazę ideologizacji i ostrej konfrontacji w stosunkach międzynarodowych, która wyraża się w masowym stosowaniu propagandy i dywersji psychologicznej, skierowanych przeciwko zwolennikom odmiennej aksjologii, metodami przeinaczeń, kłamstw, fałszerstw, dyfamacji i insynuacji. Każdy pretekst jest dobry, żeby uderzyć w dobre imię bezkompromisowego pracownika.

Obserwujemy wyraźny kryzys dialogu międzykulturowego czy nawet międzycywilizacyjnego. Jego miejsce zaczyna zajmować dyktat rzekomo uniwersalnych wartości, głoszonych przez jedną ze stron konfrontacji. Najczęściej jest to zaprzeczenie możliwości poznania racji drugiej strony czy stron trzecich. Coraz powszechniej słyszymy o konieczności podporządkowania przez rządzących spraw nauczania potrzebom ochrony praworządności, narodowej i kulturowej tożsamości, a nawet zapobiegania terroryzmowi i wszelkim innym zbrodniom ze strony arbitralnie wyznaczanych wrogów. Stąd już tylko krok do całkowitej likwidacji wolności akademickiej.

Dlatego aby ją obronić, potrzebna jest mobilizacja świata nauki na rzecz przebudowy mentalnej i moralnej własnego środowiska, pobudzenia go do dyskusji i krytyki, do otwarcia się na odkrycia i innowacje. Potrzebny jest odważny opór intelektualny przeciw petryfikacji zdeformowanych struktur akademickich, broniących biurokratyzacji, uniformizacji i formalizmów, zastępujących rzeczywistą inicjatywę i realne osiągnięcia przez bałamutne instrukcje, nadęte sprawozdania i bezkrytyczne pouczanie ex cathedra „wicie rozumiecie”. W sukurs naukowcom muszą przyjść postępowe kręgi polityczne, które mają

świadomość wagi i znaczenia instytucji uniwersyteckich dla prawidłowego funkcjonowania demokracji. Choć więc uniwersytety nie są instytucjami politycznymi, muszą liczyć na wsparcie i działania polityczne tych, którzy rozumieją współczesne wyzwania cywilizacyjne.

Administrujący nauką okopali się w swoich „fortecach” i na „ciepłych posadkach”. Zamiast pomysłów na innowacje, także w zakresie reformowania programów studiów i odpowiadania na problemy współczesności, górę bierze zaściankowa rutyna, zaduch kumoterstwa i donosów oraz małostkowość. Niesubordynowanych trzeba skarcić, zganić, upomnieć i postraszyć, a gdy to okazuje się nieskuteczne, wszcząć nagonkę i urządzić polowanie. Najlepiej zaangażować w ten proceder studentów, no bo przecież sprawa wiarygodności ich oskarżeń, na dodatek anonimowych, jest kluczowa i niepodważalna. Im bardziej z ukrycia „obsmarują” nieprawomyślnego wykładowcę, tym na większą zasłużą nagrodę. A poza tym to sprawdzony sposób doboru kandydatów w skład młodej kadry naukowej.

„Rewolucja kulturalna” Anno Domini 2022

Spośród najbardziej gorliwych „we współpracy” z dziekanem można przecież stworzyć kolejny „zaciąg pokoleniowy”, miernych ale wiernych, lojalnych i posłusznych, reprodukujących najgorsze nawyki i pokazujących moralną degenerację „chowu wsobnego”. Można walczyć z tymi zjawiskami jedynie nazywając rzeczy po imieniu. Nawet za cenę przykrego odwetu wydziałowych ordynatów. Ale jak wielu jest gotowych stanąć w prawdzie i wygarnąć publicznie, na przykład podczas posiedzenia ciał kolegialnych, że wydział psuje się od dziekana, a uniwersytet od rektora? Praktycznie takich odważnych nie ma i w obecnym stanie degrengolady ich nie będzie. W tym tkwi katastrofa środowiska uczelnianego.

Martwi mnie, co się stanie z wolnością myśli w przyszłości.

Jeśli pojawiają się niewybredne krytyki pod adresem zmarłych znawców problematyki rosyjskiej, tak jak w przypadku Andrzeja Walickiego, jednego z najwybitniejszych polskich historyków idei, to strach pomyśleć, co czeka żyjących i wciąż aktywnych badaczy. Widać wyraźnie, że komuś zależy na wykluczeniu z przestrzeni publicznej jakiegokolwiek dyskusji, a także objęciu anatemą tych, którzy za przedmiot swoich naukowych dociekań wybrali Rosję.

W wielu uczelniach niebezpieczne stały się zajęcia, na których wykładowcy wprost odnoszą się do otaczającej rzeczywistości. Wojna na Ukrainie wywołała z jednej strony niezwykle silne uniesienia emocjonalne (co jest zrozumiałe), ale z drugiej strony narzuciła selektywne pojmowanie rzeczywistości, z jednego tylko punktu widzenia. Kto go nie podziela, ulega wykluczeniu, marginalizowaniu i stygmatyzowaniu. Ryzyko jest duże, bo można być odsuniętym od zajęć, a nawet z powodu absurdalnych oskarżeń studentów stać się obiektem wszelkich możliwych pomówień. Przodują w tej dziedzinie rzecznicy uczelniani, jako strażnicy „świętej poprawności” i nadużywający swoich kompetencji.

Uczelnie wyższe, te niby wolne „świątynie dumania”, stały się – to był zresztą proces trwający od dłuższego czasu, ale wojna tylko go przyspieszyła – miejscem „myślzbrodni” z punktu widzenia narzucanej ortodoksji przez świat polityki i mediów. Nie wolno nie tylko podważać oficjalnej wykładni na temat „złej” Rosji i „dobrej” Ukrainy, ale niedopuszczalna jest jakakolwiek krytyka cynicznego kursu politycznego Zachodu, zorientowanego na prowadzenie tej wojny aż do wykrwawienia stron. Jak zauważył zacny krakowski mędrzec Bronisław Łagowski, „w liberalnej Polsce niewskazane jest mówienie, że gdy toczy się wojna, to obie strony strzelają i po obu stronach są zabici”.

Absurdalną praktyką stało się demonizowanie wykładowców, którzy podnoszą w dyskusji racjonalne argumenty i dążą do pogłębienia intelektualnej debaty. W kontekście wojny na

Ukrainie najbardziej oberwał chicagowski profesor John J. Mearsheimer, ale i w polskim krajobrazie uczelni wyższych da się wskazać nazwiska osób sekowanych i prześladowanych przez macierzyste uczelnie za głoszone poglądy. Łatwo można stać się ofiarą „polowania na czarownice” pod byle jakim pretekstem. Bez domniemania niewinności, bez weryfikacji donosów i podważenia nielegalnych nagrań, bez udzielenia głosu stronie pomówionej i oskarżonej! A przecież to Uniwersytet powinien być szkołą prawości i praworządności, ostoją przestrzegania prawa! W praktyce można bez żadnych zahamowań obrzucić nauczyciela stekiem absurdałnych zarzutów.

Nikommu nie zależy – łącznie z rektorem uczelni – aby te zarzuty sprawdzić w drodze rzetelnego i zgodnego z prawem postępowania wyjaśniającego. Jeszcze zabawniejsze jest unikanie odpowiedzialności za to, kto naprawdę podjął decyzję o nielegalnym odsunięciu nauczyciela od zajęć dydaktycznych. Podpisujący się pod nią dziekani twierdzą, że wykonali postanowienie władzy rektorskiej. Z kolei rektor zaprzecza swojemu udziałowi w tej hecy. To dowód infantylizacji zarządzania i braku nie tylko urzędowej, ale i osobistej odpowiedzialności.

Gdzie zatem szukać obiektywizmu w debacie politologicznej? Jednostronność przekazu wyklucza możliwość rozważań, czy władze państwa ukraińskiego zrobiły wszystko, co można było zrobić, aby w ciągu trzech dekad istnienia niepodległej Ukrainy ułożyć się po sąsiedzku z Rosją. Dlaczego nie wolno zadawać pytań o rolę czynnika zewnętrznego w budowaniu antyrosyjskiej Ukrainy i w rozpaleniu tego konfliktu? Dlaczego nazywanie po imieniu sprawców po obu stronach jest herezją? Skąd bierze się ta przedziwna asekuracja i pomijanie roli sił nacjonalistycznych i skrajnie prawicowych na Ukrainie? Czy odradzanie się brunatnych ideologii jest doprawdy jedynie wymysłem Kremla? Dlaczego ślepotą poznawczą polskich elit politycznych, ale i wydawałoby się poważnych badaczy prowadzi do ignorowania niezwykle niebezpiecznych zjawisk, które

przecież dotyczą żywotnych interesów Polski i Polaków?

Ukrainizacja Polski

Problem tzw. ukrainizacji Polski nie jest wymysłem postać Grzegorza Brauna ani innych polskich „nacionalistów”. Dlaczego nad konsekwencjami przesiedleń nie zastanawiają się na przykład znawcy migracji, których bezrefleksyjnym zawołaniem stało się banderowskie pozdrowienie „sława Ukrainie”? A gdzie debata o kosztach demograficznej transformacji, o negatywnych skutkach demontażu polskiej tożsamości narodowej poprzez żywiołowy napływ uchodźców, a raczej stymulowany ruch przesiedleńczy? Czy jednolite narodowo państwo polskie naprawdę przestało być cenną wartością Polaków? Na jakich podstawach ma w przyszłości opierać się lojalność wobec państwa, jeśli status obywateli RP otrzymują osoby przypadkowe, albo jeszcze gorzej, obce polskiej tradycji myślenia i kulturze? Przecież takie tematy powinny być przedmiotem nie tylko debat parlamentarnych, ale i twórczych dyskusji w środowiskach naukowych.

Nie chodzi wyłącznie o wystawianie chwalebnych laurek wojennym bohaterom czy ściganie się w antyrosyjskim zelotyzmie, ale o poważne zastanowienie się, dlaczego polskie interesy narodowe niekoniecznie we wszystkim współgrają z tym, co prezentuje pogrążona w katastrofie wojennej Ukraina. Kto poza sloganami o „wspólnej” czy „naszej” wojnie powinien tłumaczyć Polakom, że państwa nie kierują się wobec siebie żadnym altruizmem i bezinteresownością?

Państwa z natury myślą egoistycznie i dbają przede wszystkim o dobrostan swoich obywateli, którzy nie powinni płacić kosztów za cudze błędy, w tym także za cudze wojny. Mądrość rządzenia państwem nie polega przecież na hojnym rozdawnictwie własnego majątku i trwonieniu zasobów, w imię dziedziczonej po przodkach irracjonalnej misyjności. Jeśli elity władzy doprowadzają w państwie demokratycznym do degradacji

standardów życia i destrukcji gospodarki, powinny liczyć się ze społecznym odrzuceniem. A także z polityczną i prawną odpowiedzialnością za dyskryminację własnych obywateli kosztem przybyszów z zewnątrz.

Jeszcze ważniejsza staje się potrzeba debaty na temat ewolucji „ustrojowej” państwa polskiego. Jak można nieodpowiedzialnie ogłaszać, jak czynią to najważniejsi funkcjonariusze władzy, że granica państwowa między Polską a Ukrainą zmierza w kierunku zaniku, a nawet prawnej likwidacji? Dlaczego tak ważnych z egzystencjalnego punktu widzenia spraw nie poddaje się debacie publicznej? Dlaczego milczą na ten temat partie opozycyjne w parlamencie, nie podejmują tej problematyki media masowe? Nie ma też wypowiedzi autorytetów prawa konstytucyjnego.

Łączenie ze sobą tak różnych dwóch organizmów państwowych wymaga nie tylko głębokiego namysłu, ale przede wszystkim diagnozy interesów integrujących się stron i wzajemnych zobowiązań po dokonaniu ewentualnej „fuzji”. Na obecnym etapie żenujący poziom wypowiedzi o związkach Polski i Ukrainy prowadzi raczej do konfuzji. Obywatele Polski mają prawo odczuwać głęboki niepokój z powodu postępującej „ukrainizacji” polskiej polityki i jej szkodliwych skutków.

Interesy Stanów Zjednoczonych na Ukrainie nie dają się uzasadnić ani geopolityką (gdzie Rzym, a gdzie Krym!), ani solidarnością ideologiczną (występuje absolutny brak związku ustroju państwa ukraińskiego z poszanowaniem wartości bronionych przez Zachód). Słusznie zauważa się w samej Ameryce, że nadawanie „żywotnej” rangi interesom Waszyngtonu na Ukrainie może mieć charakter irytujący (Katrina vanden Heuvel). Na szczęście takich głosów jest coraz więcej. Nie chodzi w nich o usprawiedliwianie zbrodniczych agresji, ale o wskazanie rzeczywistego sprawstwa i konieczności wyjścia z kryzysu. Jeśli nie można było zapobiec tragedii ukraińskiej, to może przynajmniej uda się pobudzić rozmaite środowiska do zmiany kursu politycznego? Czy wysyłanie Ukraińcom kolejnych

partii śmiertelności broni jest doprawdy najmądrzejszym kursem politycznym, zważywszy na konsekwencje, w jaką otchłań rozmaitych kryzysów wpadają rządy i społeczeństwa Zachodu? To nieprawda, że jest tylko jeden sposób rozwiązania konfliktu na Ukrainie, poprzez wojnę aż do zwycięstwa, bez liczenia się z kosztami ludzkimi i materialnymi samych Ukraińców i Rosjan!

Dyktatura światopoglądowa

Dyktat jednolitości stanowisk wobec spraw trudnych i niebezpiecznych zawsze prowadzi do zaniku wariantowego myślenia, do przyjmowania narracji narzucanej odgórnie. Sprzeciw wobec każdego dyktatu wymaga odwagi. Większości studentów nie interesuje jednak czytanie „rewizjonistycznych” i prowokujących do myślenia książek, bo są przecież gotowe, łatwe i oczywiste interpretacje otaczającej nas rzeczywistości. Jest gorzej, gdy zalecane przez wykładowcę publikacje wychodzą poza tzw. sylabus, czyli wcześniej zatwierdzony przez władze program nauczania. To już prawdziwa herezja!

Czasem można odnieść wrażenie, że dzisiejsi studenci są „mądrzejsi” od swoich profesorów. Są przekonani, że i bez czytania książek dużo więcej wiedzą niż anachroniczni wykładowcy, głoszący „skostniałe” teorie i staroświeckie ideały. Zadawanie lektury obowiązkowej przez tych ostatnich i jej egzekwowanie na zajęciach jest nie tylko fanaberią uczących, ale powodem do skarg i zażaleń, składanych przez stale rosnącą liczbę frustratów. Sytuacja jest chyba nieodwracalna, gdyż potulni kierownicy jednostek dydaktycznych poddają się studenckiemu terrorowi. Dla świętego spokoju tolerują nieuków, a poprzez ich donosy w systemie anonimowych ankiet ganią wymagających nauczycieli. Zjawisko to ma szerszy negatywny kontekst ze względu na rozwój cywilizacji informatycznej. Smartfony i tablety zawładnęły umysłami młodzieży, co zniszczyło czytanie poważnej literatury naukowej. Skłonienie studentów do przeczytania jakiejś książki

w całości jest doprawdy czynem heroicznym tak ze strony nauczyciela, który naraża się na skargi, jak i ze strony słuchaczy, z których tylko część posiadała umiejętność czytania ze zrozumieniem.

Dążenie do zdobycia i ugruntowania pewnego kwantum fachowej wiedzy jest obecnie marzeniem nielicznej grupy studentów. Reszta, w przeważającej większości, dąży do zdobycia łatwych certyfikatów, dających możliwość wpasowania się w rynek pracy. Do rzetelnego studiowania nie skłania obecny system edukacji na poziomie wyższym. Przestarzałe programy nauczania, brak przygotowania do alternatywnego i krytycznego myślenia, wreszcie stadność i pseudopatriotyczny terror jednomyślności – to cechy niejednej katedry uniwersyteckiej. Uczelnie upodabniają się do szkół zawodowych. Te stają się fabrykami pseudointeligentów, którzy zdobywają dyplomy w transakcji kupna-sprzedaży.

Wtedy naprawdę wiedza ma najmniejsze znaczenie. Krytyczne myślenie nie jest w cenie, bo naraża na starcie się z absolutyzowaną przez większość prawdą, a to może zaszkodzić w dalszej karierze. W cenie jest przystosowanie ochronne (mimikra) i konformizm. Osobność nie popłaca. Najważniejsze są przyszłe posady i szybki dostęp do dóbr wszelakich, a nie zwracanie sobie głowy jakimiś przykazaniami o moralnych powinnościach. Przestają obowiązywać zasady rzetelności i uczciwości na drodze poznania naukowego. Roty ślubowań studenckich, a nawet doktorskich stały się czczym rytuałem. A dobre obyczaje i tak nie mają żadnego znaczenia, bo przecież nigdzie nie zostały spisane (sic!).

Koniec nauki polskiej

Mamy do czynienia nie tylko z konfliktem różnych oczekiwań wobec zarządzających polską nauką, ale także z konfliktem pokoleń. Dziekani wydziałów likwidują ten problem przez obcesowe odsyłanie zasłużonych nauczycieli akademickich na

emeryturę. Rektorzy przedłużają niektórym seniorom zatrudnienie ze względu na ich dorobek, zawodową przydatność lub po prostu „po uważaniu”. Mamy więc do czynienia z dziwną sytuacją, że władze uczelni zamiast spójnej i racjonalnej polityki zatrudnienia, uwzględniającej potrzeby kadrowe i zapewniającej ciągłość poziomu badań i nauczania, kierują uwagę nie na najlepszych, lecz na tych szczególnie zasłużonych w lojalności i pełnieniu funkcji lub po prostu politycznie protegowanych. Nieklarowność kryteriów w polityce zatrudnienia na uczelniach jest mankamentem od lat.

W konkursach o zatrudnienie najczęściej startuje jedna osoba, co jest zaprzeczeniem idei samego konkursu i z góry wskazuje intencje jego organizatorów. Bynajmniej nie zanoszą się na zmiany, które zapowiadała jeszcze w 2015 roku ówczesna minister nauki Lena Kolarska-Bobińska. Deforma szkolnictwa wyższego zniszczyła bezpowrotnie etos pracownika naukowego, który dysponując dorobkiem i wiedzą stanowił kiedyś autorytet dla młodszych pokoleń. Uczenie się rzemiosła akademickiego nie zachodzi poprzez punkty i granty, lecz poprzez żmudne wykuwanie umiejętności analitycznych, pogłębianie refleksji intelektualnej (teoretycznej) i osiągnięcie dojrzałości metodologicznej. Aż strach pomyśleć, co pozostanie z dorobku mierzonego formalnymi notami, a nie rzeczywistym wkładem do myślenia i praktyki.

W dynamicznie zmieniającej się rzeczywistości, wraz z ogromnym tempem przemian cywilizacyjnych zabrakło dostosowania edukacji w ramach tzw. kształcenia ustawicznego, do zmieniających się wyzwań poznawczych. Decydenci od spraw szkolnictwa wolą sięgać do historii jako „matki wszystkich mądrości”, zamiast kierować uwagę badaczy, nauczycieli i uczniów na rozumienie i oswajanie perspektyw rozwojowych. Wszyscy, którzy pretendują do rządzenia państwem polskim muszą pilnie zastanowić się nad sanacją edukacji publicznej, gdyż w przeciwnym razie Polsce i Polakom grozi zapaść cywilizacyjna. Państwo polskie musi zapewnić wszystkim obywatelom dostęp do wiedzy, nie

kwalifikując jej, czy jest poprawna, czy nie. Nowoczesne państwo potrzebuje modernizacji nauczania na wszystkich poziomach, aby zapobiec powrotowi obskurantyzmu i zamknięcia w klatce prowincjonalizmu. Tylko postępy edukacyjne mogą przyczynić się do profesjonalizacji polskich elit politycznych, zapewnić zdrową konkurencję o rozmaite stanowiska, opartą na kompetencjach i kwalifikacjach, a nie na koneksjach i układach.

Autorstwo: prof. Stanisław Bieleń

Źródło: MyslPolska.info